Nr. 16 | Należyt. poczt. opl. ryczałt. | We Lwowie, 16 sierpnia 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 16:

Nr. 16 We Lwowie, 16 sierpnia 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXIX ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

ODBĘDZIE SIĘ W DNIACH 3-GO i 4-GO WRZEŚNIA B. R. WE LWOWIE

W dniu 3 września o godzinie 9-tej odprawioną zostanie

MSZA ŚWIĘTA

przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety,

poczem o godz. 10-tej przedpoł. odbędzie się

WALNE ZGROMADZENIE

CZŁONKÓW MAŁOP. TOW. ŁOWIECKIEGO

w sali Towarz. Gospodarczego przy ul. Kopernika l. 20.

Wydział przypomina, że w dniach od 30 sierpnia do 6 września odbywać się będą Narodowe zawody strzeleckie i prosi ponownie członków, by wzięli udział w tych zawodach, a powtarza dane już hasło, że członkowie M. T. Ł. spotkają się na strzelnicy wojskowej przy ul. Kleparowskiej w dniu 4 września, o godz. 9-tej. Wydział M. T. Ł. wszedł w ścisły kontakt z komitetem Narodowych zawodów i uczynił wszystko, by pobyt członkom M. T. Ł. na strzelnicy umilić i upodobnić to nasze zebranie się na strzelnicy, do tradycyjnych corocznych tam zebrań.

Członkowie M. T. Ł. chcący wziąć udział w strzelaniu, zechcą się zgłaszać w biurze naszem przy ul. Ossolińskich 11 III. p. osobiście lub pisemnie, gdzie otrzymają zaświadczenia przynależności do M. T. Ł., na podstawie których będą się później już w czasie strzelania zgłaszać wprost na strzelnicy, dla podjęcia książeczek uczestnictwa, po wpłaceniu wpisowego.

W biurze M. T. Ł. otrzymać też można program i regulamin zawodów.

Tego programu i regulaminu nie drukujemy w „Łowcu“, gdyż są to elaboraty bardzo obszerne i szczegółowe, stanowiące książeczkę o 67 stronicach.

„ŁOWIEC POLSKI"

O OCHRONIE JELENIA

Ustawa nigdy nie powinna krzywdzić myśliwego-hodowcy. Ona jest na to, by umożliwić, ułatwić cel, ale nigdy na to, by utrudnić osiągnięcie celu. A właściwym celem polowania jest przyjemność i rozkosz, jakie daje łowiectwo. Dalszym dopiero celem jest zysk materjalny. Więc jeżeli łowiectwo jest źródłem pewnych rozkoszy, to rzeczą ustawy jest, owszem otaczać to źródło opieką, by nie wyschło, by coraz obfitsze z niego biły potoki uciech; ale tylko w tym celu, by umożliwiała właścicielowi tego źródła, który je ochrania i pieczołowicie pielęgnuje, czerpać z niego ku jego największemu zadowoleniu bez szkody dla źródła. Więc nie można wymagać od ustawy łowieckiej, by zakazywała strzelania myśliwemu-hodowcy na rykowisku jelenia, jeżeli to jest dla myśliwego szczytem rozkoszy łowieckich, i on widzi w tem strzelaniu jedyną, odpowiednią nagrodę za długoletnie trudy i wielkie ofiary.

A takich właśnie myśliwych-hodowców jest ogromna ilość. I dlatego to z całą świadomością nasza ustawa łowiecka dała odstrzał jelenia na rykowisku.

A co do szkodliwości strzału podczas rykowiska, to się ją przecenia. Bo mimo, że jeleń podczas rykowiska jest upośledzony co do czujności, to trzeba, polując na tego „kapitalnego" jelenia, dużo doświadczenia w polowaniu, wytrwałości, i znajomości przyrody i terenu, bo czujności kilku lub kilkunastu łań, otaczających byka, lekceważyć nie można. Choćby nawet strzał do jelenia na rykowisku był szkodliwy, to może ustawa w inny sposób te szkody wyrównać. W jaki sposób, o tem później.

Sam w górach na jelenia nie polowałem, ale z doświadczeń moich w nizinie i doświadczeń wielu poważnych i wytrwałych myśliwych, którzy na jelenia i w Karpatach i w nizinie polowali, wynika, że najczęściej się tego kapitalnego jelenia nie dostaje, bo ten z reguły nie ryczy, z gąszczu nie wychodzi, tylko sam na sam z jedną wybraną, chwile miłosne spędza na uboczu, zdala od tych młodzików, którym się zdaje, że mogą świat cały wyzywać na pojedynek. Jak sobie naprzykład tłumaczyć fakt, że padł wspaniały wstecznik z wieńcem ponad 10 kilo wagi? Gdyby skutki szkodliwe dozwolonego strzału podczas rykowiska były takie złe, toby przecież w Polsce wsteczników takich wspaniałych nie powinno być.

Te najlepsze byki podczas rykowiska z reguły nie padają. Padają coprawda nieraz byki przyszłości, ale na szczęście dużo ich pozostaje; bo większa część myśliwych, nawet niehodowców, z obawy, żeby sobie tego kapitalnego — o którego istnieniu zawsze wie — nie spłoszyć, nie strzela podczas rykowiska do dobrego nieraz jelenia, którego w bliskości tego kapitalnego spotyka. I tak często rykowisko dobiega końca, a myśliwy wraca zupełnie bez wieńca, lub strzela na odjezdnem nieraz z rozpaczy do miernoty. I efekt jest ten, że kapitalny pozostał, a te lepsze, które z początku były na strzał, lecz je oszczędzano z powodu możliwości spłoszenia sobie kapitalnego, później znalazły sobie zacisze miłosne, więcej nie ryczały i też się nie pokazywały.

Zresztą, mimo, że odstrzał dotąd podczas rykowiska był dozwolony, proszę policzyć wszystkie wieńce rok rocznie w Polsce całej zdobywane, i te proszę zliczyć, które zdobyto podczas rykowiska, a okaże się, że drobny, drobniuteńki tylko ułamek zdobyto podczas rykowiska, a resztę to przed, lub po rykowisku, i to przeważnie na pędzeniach.

Przed rykowiskiem, mianowicie tam, gdzie o hodowli właściciel łowiska nie myśli, lub w małych kompleksach leśnych, gdzie błoto, trzcina i karma dostateczna, przy względnym spokoju wśród łąk, albo pól rozległych, dla jelenia łojnego stwarzają odpowiednią, przejściową siedzibę — a po rykowisku dają jeleniowi wyczerpanemu, znajdującemu się w powrotnej drodze do stałych ostoi, również krótkie schronienie. Stałą ostoję bowiem będzie miał jeleń tylko tam, gdzie szlachetna ręka hodowcy-myśliwego da mu ochronę, karmę i sprzyjającą knieję.

Z powyższych więc względów szkodliwszy jest odstrzał jelenia-byka w sierpniu, niż podczas rykowiska. Gdyby ustawa mogła więcej uwzględnić hodowlę samą, albo chciała przejściowo obostrzyć ochronę, winnaby nawet zakazać odstrzału jelenia-byka aż do 15 września, a potem już od 10 października, bo rykowisko zaczyna się przeciętnie od 15 września, a właśnie w pierwszej połowie września są jelenie najwięcej w ruchu i pokazują się tam, gdzie ich przez cały rok niema; tam, gdzie właściciel łowiska nigdy ich nie oszczędzi, bo przecież sobie mówi: jak nie zabiję ja, to zabije kto inny — ma na myśli sąsiad-hodowca.

Z drugiej zaś strony rykowisko na ogół kończy się 10 października, i odtąd znowu są jelenie w ruchu, by z rykowisk wrócić do swych zimowych ostoi, i podczas tej wędrówki pada znowu znaczna część jeleni z ręki tego, który jelenia uważa w swem łowisku tylko za gościa. Ustawa właśnie, chroniąc jelenia aż do września, częściowo zapobiegła mordowaniu jeleni na pędzeniach z fladrami i t. d. tam, gdzie one są tylko zwierzyną przejściową.

Dlatego pozwalam sobie zaproponować następny czas odstrzału jelenia: od 15 września do 10 października, a potem od 1 grudnia do 1 stycznia lub do 1 lutego. Bo mniejwięcej od grudnia jelenie znajdują się w swych stałych ostojach, i odtąd może się zacząć właściwy, racjonalny odstrzał, gdyż jedynie z tropów po śniegu i z przeglądu przy paśnikach można sobie wyrobić sąd o stosunku byków do łań i o jakości byków. Odstrzał przedłużyć jeszcze przez styczeń zaleca się z tego powodu, że w grudniu może nie być śniegu i racjonalny odstrzał będzie utrudniony, a pozatem nieraz zima już w styczniu da się zwierzynie tak we znaki, że wszyst-

ko, co chore i słabsze, wyglądem i zachowaniem się zdradzi, że lata nie dożyje i pragnie kuli hodowcy, by powoli nie marnieć, często choroby roznosząc po łowisku, i nie paść wreszcie po długich męczarniach jako sztuka zdatna już tylko do jak najprędszego zakopania.

Przy tak ustalonych terminach odstrzału naturalnie polowanie na jelenia byłoby tylko ograniczone do tych łowisk, gdzie jeleń ma swe rykowisko i swą stałą ostoję. I słusznie, ponieważ tam tylko można przeprowadzić racjonalną hodowlę za pomocą odstrzału, a właściciel tych łowisk ponosi w celach hodowli jelenia olbrzymie ciężary i ofiary.

Krzywdę pewną wyrządziłaby ustawa taka nieraz tym właścicielom większych lasów, którzy tylko przez wiosnę i lato w swych łowiskach mają jelenie, muszą znieść niejedną szkodę w lesie, a przedewszystkiem płacić nieraz olbrzymie sumy odszkodowania granicznym chłopkom. Lecz krzywda ta najczęściej zamienićby się mogła w błogosławieństwo, gdyby właściciele danych łowisk stworzyli u siebie dla tych sezonowych gości takie warunki, że się im nie będzie śniło wynosić. A mianowicie, jeżeli zapewnią im właściciele tych łowisk poza pewnym spokojem i poza innemi wygodami, przedewszystkiem dobrą paszę przez całą zimę. — Prawda, że założenie błotek, lizawek, gąszczów, paśników i poletek z karmą, i odpowiednia ochrona przed dwu- i czworonożnym drapieżnikiem, wymaga kosztów. Ale ten, kto odpowiednio wysoko stawia polowanie na jelenia, te ofiary chętnie poniesie.

O ileby zaś się i tym pewien ekwiwalent należał, których łowisko nie nadaje się na stałą ostoję dla jeleni, a którym również przez kilka miesięcy jelenie wyrządzają szkody, to ze względu na tych właścicieli łowisk, odstrzał jeleni, ewentualnie możnaby zezwolić już od 1 września — co też ustawa obecnie uwzględnia. Bo odtąd jelenie, ogarnięte niepokojem rykowiskowym, i w drodze do rykowiska, dość łatwo na strzał dostać można, choć ich przez całe lato widać nie było, mimo że się napewno w łowisku znajdowały.

Stanowczo powinna ustawa zakazać pędzenia na jelenie — wyjątek może być dopuszczalny tylko za specjalnem zezwoleniem, w celu odstrzału chorej i rannej sztuki, każdorazowo przez starostę — bo najwięcej pada jeleni podczas pędzenia właśnie w tych łowiskach, w których jelenie tylko są przejściową zwierzyną. — A pozatem i z tego powodu uważam zakaz polowania na pędzeniach za tak szkodliwy, ponieważ na pędzeniach o strzale selekcyjnym mowy być nie może; padają zamiast cherlaków, jelenie przyszłości; zamiast łań jałowych, słabych lub chorych, cielaki — i to najczęściej byki, bo już jesienią cielak-byk prawie dorównywa wielkością łani.

A jakie argumenty przemawiają za strzałem do jelenia przed rykowiskiem w sierpniu?

Mojem zdaniem, tylko ten urok specjalny, który daje polowanie na jelenia łojnego, ostrożnego, jak nigdy — w te poranki orzeźwiające po parnej nocy, w te skwarne wieczory, przepojone brzękiem komarów, i te wiele obiecujące południa wśród zroszonych przez burzę i iskrzących się miljonami brylantów, zagajników sosnowych, na duktach oślepiających blaskiem słońca sierpniowego. Rozkoszy wiele dają podchodzenie i czaty na jelenia w sierpniu, jednakże nie dorównywują rykowisku.

Reszta argumentów, jak konieczny i łatwiejszy odstrzał przed rykowiskiem, szkodników rozpłodowych, i użyteczność większa „mięsa“, mojem zdaniem nie wytrzymuje krytyki. Bo w początku września, gdy jelenie już straciły na czujności i są w ruchu, a potem gdy te młodziki wszystkie i słabsze jelenie obchodzą jak ślepe, tego silnego byka wraz z jego haremem, łatwiej odstrzelić to, co odstrzelone być winno, niż w sierpniu. Naturalnie, że zupełnie temu się nie zapobiegnie, by tam jakiś cherlak albo młodzik pod nieobecność pana haremu, na prędce nie uszczknął sobie trochę miodu haremowego, ale mojem zdaniem, więcej byłoby takich szkodników, gdyby ich odstrzał był uskuteczniany tylko w sierpniu, lub we wrześniu po rykowisku. A jeżeliby ktoś wysunął obawę — i bardzo często słuszną, — że przez liczne strzały w najbliższej bliskości stanowiska ryczącego, albo tego kapitalnego jelenia, możnaby sobie go spłoszyć, albo nawet rykowisko całe popsuć, to właśnie na to proponuję odstrzał w grudniu i styczniu. Tu bowiem łatwiej tego szkodnika rozpoznam i odbiję. I tak samo przed rykowiskiem unieszkodliwię; a pozatem, jeżeli chodzi o „mięso“, to w grudniu i styczniu nie zachodzi obawa, że mi się ono popsuje.

Wszystkie powyższe uwagi w sprawie odstrzału jelenia czynię na podstawie doświadczeń, które zebrałem podczas polowań na jelenia nizinnego, i to w Wielkopolsce i na Pomorzu.

Dlatego pewnie wszystkiego, co pisałem o jeleniu, nie można dostosować dosłownie do jelenia górskiego.

To, co powiedziałem o ochronie jelenia, pozwoliłem sobie wypowiedzieć, jako skromny pionek tej naszej, dziś jeszcze tak nielicznej armji myśliwych pracujących nad stworzeniem idealnego łowiectwa polskiego.

Mych kilka słów ma być tylko cegiełką, którą stawiam ustawodawcy do dyspozycji, jako surowy budulec. Niechaj ją zużyje, o ile się nadaje do ewentualnej rozbudowy ustawy łowieckiej.

A nie, to niech co powiedziałem, na chwilkę pobudzi choćby tylko nielicznych myśliwych, do przemyślenia swych doświadczeń łowieckich, a cel swych skromnych uwag osiągnę.

Wszystkim myśliwym cześć!

Dr R. Zenkteler

Powyższy artykuł Dra Zenktelera przedrukowany z Nr. 30 bież. roku „Łowca Polskiego“, polecamy uwadze naszych Czytelników. Autor, widocznie ciałem i duszą myśliwy, kochający piękno w łowiectwie, wniknął dokładnie w sprawę, o której w ostatnich czasach dużo

się mówi i pisze i na obronę łowów na jelenia podczas rykowiska przytoczył tak przekonywujące i logiczne argumenty, że możnaby uważać temat za wyczerpany.

Słusznie powiada Autor, „że jeżeli łowiectwo jest źródłem pewnych rozkoszy, to rzeczą ustawy jest to źródło otoczyć opieką, by nie wyschło". A myśliwemu gospodarzowi za jego trudy musi być wolno czerpać z tego źródła w sposób umiejętny i nie przynoszący szkody. Prawo łowieckie zabraniające tego myśliwemu, byłoby niesprawiedliwe i dla łowiectwa szkodliwe. Wyraził się więc Dr. Zenkteler niemal dosłownie w ten sam sposób, co i ja w N-rze 15-ym „Łowca", pod artykułem p. Kaz. Wysockiego.

Autor przyznaje, że nie zna stosunków łowieckich w Karpatach i traktuje rzecz o jeleniach nizinnych, ale tembardziej Jego argumenty przekonywują. Jeżeli bowiem w rewirze nizinnym, gdzie myśliwy ma łatwą sposobność spotykać się z jeleniem przez cały rok, łowy na rykowisku, z powodów przytoczonych przez Autora, są sposobem najwłaściwszym polowania i rozumnie wykonane ujmy gospodarce łowieckiej nie przynoszą, to cóż dopiero w Karpackiej puszczy, w której myśliwemu-hodowcy dać one jedynie mogą rezultat. — Autor uwzględnia stronę sztuki w łowiectwie i słusznie, bo gdybyśmy łowiectwo z tych właściwości ogołocili, przestałoby istnieć.

Słusznie wyczuwa Sz. Autor przy końcu artykułu pewne różnice między jeleniem górskim a nizinnym. Jeleń górski w czasie najwyższego napięcia rykowiska nic z swej czujności nie roni, a nadto pilnują go łanie, otaczające swego małżonka. Ci, którzy twierdzą, że ubicie (dobrego notabene) byka karpackiego podczas rykowiska jest rzeczą łatwą, zdradzają nieznajomość rzeczy. Nawet dalekonośna broń tegoczesna sprawy tej nie ułatwia, jeżeli jest w ręku prawdziwego łowca, a nie strzelacza.

Słusznie pisali pp.: A. Przedrzymirski i H. hr. Tarnowski, że los karpackich jeleni nie zależy od brzmienia ustaw, ale od tego, w jakich łowiska karpackie są rękach. Dzierżawiący je obecnie dali dowód, że umieją w nich dobrze gospodarować. Oby się i nadal przy nich utrzymali!

Wierzymy, że Ministerstwo Rolnictwa przy przyszłorocznem zatwierdzaniu umów dzierżawnych temi motywami kierować się będzie.

A. M.



ALBERT MNISZEK

Jak mi stara baba życzyła szczęścia i co z tego wynikło

Nie jestem przesądny. Choć wielką część życia mego, a prawie całe dzieciństwo spędziłem na Ukrainie, gdzie w dworach polskich zakorzenione były najrozmaitsze przesądy, nie wsiąknęły one w mój intelekt na tyle, bym je brał kiedy poważnie. A było ich tam bez liku! W poniedziałek nie wyjeżdżać, w piątek do nikogo nie przyjeżdżać, drzwi nowych w domu nie wybijać, siódemka, trzynastka to feralne cyfry, na nowy księżyc lewem okiem nie spojrzeć, listu w kopercie stroną adresową w dół nie podawać i mnóstwo jeszcze innych, których dziś już nie pamiętam.

A jednak, jak mnie doświadczenie życia mego myśliwskiego nauczyło, jest pewnem, że życzenie szczęścia na polowaniu przynosi „pech", a jeżeli jeszcze życzenie to wyjdzie z ust starej baby, nabiera ono wtedy jakiejś demonicznej siły sprowadzenia „pechu" i to nieraz wielokrotnego. To nie przesąd, moi Panowie, to wyższa jakaś siła nadprzyrodzona i destruktywna, na którą nikt dotąd nie wynalazł antidotum. Bo bywają przyczyny, które przynoszą pech na polowaniu, ale ten da się odżegnać. Spotkanie osoby duchownej w drodze na polowanie wedle powszechnie u nas zakorzenionego przesądu przynosi pecha. Rzuca się wtedy garść słomy za nią, a w braku tejże, choćby kilka włosów wyrwanych z futra. To ma pomagać.

Zabawne raz w związku z tym przesądem miałem zdarzenie. Jechałem raz przed wojną wózkiem na polowanie błotne w Samborskiem z przyjacielem ś. p. pułkownikiem (wtedy rotmistrzem) Wł. Orzechowskim. Spotkaliśmy jadącego pastora ewangelickiego. Orzechowski niebacznie rzucił za nim garść siana, co widząc, oburzył się gwałtownie starowina i uczynił nam wcale nie księżą, ale za to czysto polską propozycję.

Życzenie szczęścia na polowaniu uważają myśliwi za sprowadzające brak spotkania ze zwierzyną, gdy jednak wyjdzie ono z ust starej baby, nabiera wtedy siły demonicznej w sprowadzaniu pechu. Na tych samych błotach polując raz w Samborskiem, ubiłem w jednym dniu zwyż 50 sztuk ptactwa, którego tam było mnóstwo. Wróciwszy wieczorem do domu, zastałem sąsiada, ś. p. Fr. Jaruntowskiego, który się do mnie wybrał na noc, by na drugi dzień ze mną pojechać na błota. Na wyjezdnem dostałem polecenie kupienia kilku kilogramów

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI (z teki pośmiertnej)

Wspomnienia z polowań na orły i sępy w latach 1885-1917

Zapewne niewielu myśliwym starego autoramentu, a tem mniej młodym nemrodom obecnej doby los pozwolił zwiedzić dalekie kraje nieznane, zajrzeć do ponurej tajgi północy, południowych puszcz lesistych, spędzić szereg lat wśród bezbrzeżnych przestrzeni stepowych, poznać faunę tych stron dalekich, wniknąć w tajemnicę życia stworzeń i zapolować na nie? Łaskawemu czytelnikowi może niekiedy me opisy polowań wzbudzą pewną wątpliwość, wtedy pozwalam sobie odwołać go do NN. „Łowca Polskiego" z lat 1903—1910, gdzie znajdzie kilka fragmentów z mych polowań wraz z umieszczoną mą podobizną z sześciu (6) orłami, ubitemi przezemnie w 1½ doby. W miesięczniku niemieckim z tych lat w „Naturalien Cabinet", prof. Hoffmana ze Śląskiego Grünbergu znajdzie czytelnik artykuł o mych polowaniach, gdzie mnie nazwano „Adler-König"-iem.

Pierwszy orzeł na Podolu 1885 roku.

Już rok blisko zamieszkałem na Podolu w Dystylowie pod Bernadą, a mimo ustawicznego przebywania w polu, lasach i nad skalnemi brzegami Bohu, mimo licznych opowiadań i zapewniań o egzystencji tam orłów, żadnego nie spotkałem. Wątpliwość w istnienie w tej okolicy tego królewskiego ptaka, zaczęła coraz więcej wzrastać, gdy najnieoczekiwaniej z nim się zetknąłem. Powracając linijką do domu na obiad pewnego dnia jesiennego, zauważyłem w bliskości wsi niezwykły popłoch między pasącemi się stadami gęsi na przyległem do stawu pastwisku. Stada w popłochu wrzaskliwym szukały schronienia na wodach stawu przed jakimś wielkim, prawie czarnym ptakiem, ścigającym zajadle spłoszone stado. Ptak wzbiwszy się jak ogromna kula wysoko, runął na przelękłe gęsi, chybił jednak ciosu, gęsi padły do wody, napastnik zrobiwszy łuk nad stawem, nadleciał nademnie. Miałem już tesznerówkę w pogotowiu, a gdy rabuś zrównał się zemną, strzeliłem; padł tuż przed koniem, jak ciężki wór naładowany. Zbytnio siliłbym się na opisanie mej radości, jaką ta pożądana od lat wielu zdobycz mi sprawiła. Duma moja była jeszcze większą, gdy dr. Bełcikowski, amator-badacz ornitolog, uznał w mym Birkucie przedni egzemplarz przedstawiciela tego gatunku orłów.

Chersońszczyzna 1887 r.

W rok potem opuściłem piękne Podole ten kraj „mlekiem i miodem" dla wielu płynący, dla mnie jednak nie nader szczodry i gościnny. Pociągały mnie i wabiły ku sobie dzikie na te czasy jeszcze stepy „pól dzikich". — Miały one dla mnie urok i powab niewysłowiony, więc też tam się przeniosłem w 1887 r. Nie tyle pociągały mnie tam widoki materjalne, za któremi nigdy nie uganiałem się zbytnio, ile miały urok dla mnie te nieograniczone pustkowia stepowe, swoboda i życie niezależne, a przedewszystkiem nęciły mnie różnorodność i obfitość zwierzyny, nieskrępowana wolność polowań na każde stworzenie. Na te czasy, polowania należały do tego, kto je uprawiał — żadne prawo własności zwierza nie obowiązywało nikogo.

---

masła w niemieckiej kolonji, przez którą się przejeżdżało. Wstępuję do szwabki, zamawiam masło na wieczór, które odbiorę wracając i na pożegnanie słyszę jej słowa: „Wünsche Ihnen viel Glück auf der heutigen Jagd". Skutek tej szwabskiej uprzejmości był taki, że we dwójkę ubiliśmy dnia owego 3 kszyki, a może jeszcze drugich tyle spotkaliśmy.

Przed kilkoma laty, na wyjezdnem w Karpaty na rykowisko, spotkałem się przy wsiadaniu do auta we Lwowie z życzeniem szczęścia, wypowiedzianem przez starą niewiastę, mieszkającą w suterenach mego domu. Przez 10 dni pobytu w górach nie widziałem żywego czworonoga, prócz wiewiórek, choć miałem w mym rewirze dwa kapitalne byki, które spotykali i widywali codziennie wszyscy inni, od straży granicznej do pasterzy i przydzielonej mi obsługi włącznie.

Ale przystąpmy do właściwej treści niniejszego opowiadania. Wszystkie te wspomniane epizody są niczem w porównaniu do tego, co teraz opowiem.

W piękny przedwieczór czerwcowy w r. 1927 siedzieliśmy w linijce przed leśnictwem w R., pan nadleśniczy Z. i ja, by polować na rogacze w przebogatym w sarny rewirze. W chwili odjazdu przyszła stara baba do mego towarzysza i gospodarza i poprosiła go o pożyczenie worków na ziemniaki, a gdy w dość mozolny sposób cel swój osiągnęła, usłyszeliśmy z ust jej feralne słowa: „Daj Panom Boże szczęścia na polowaniu". Myślałem, że spokojny zawsze i zrównoważony mój towarzysz się wścieknie ze złości. Baba nie dostała już worków i zagrożona spuszczeniem psów łańcuchowych wyleciała za bramę jak z procy, a my z kwaśnemi minami wyjechaliśmy do lasu. Nie pomogło jednak nic, jak to Czytelnicy się przekonają, zgromienie baby. Arcypech prześladował mnie dnia tego o charakterze katastrofalnym i spowodował nie jedno, lecz osiem niepowodzeń. Był to wieczór feralny I. stopnia.

Jedziemy duktem między ścianami podniosłego grabowego lasu, przetykanego klombami młodej świerczyny. Słońce jeszcze wysoko było na niebie, rzucając przez liście złote refleksy. Spostrzegamy leżącego za pniem grubego graba rogacza o przepięknych rożkach na odległość ledwie pięćdziesięciu kroków. Jest ukryty w ten sposób, że widać tylko czarny nosek i żółtą smugę zadu. Gdy ruszy głową, okazują się rożki pewnie 28 cm wysokości, klasycznego kształtu i wspaniale uperlone. Zsiadamy z wehikułu, a ja się składam i proszę towarzysza, by zaświstał. Rogacz wstał i skoczył tak szybko w grupę przed nim stojących świerków, że na strzał

Stepy z ich zwierzostanem wywierały na mnie odurzające wrażenie i stały się na długie lata mem domostwem prawdziwem. Tam też zeszło mi pół mego wieku najpiękniejszego, tam wpełni zażyłem swobodnego życia myśliwskiego, stamtąd wyniosłem najpiękniejsze wrażenia łowieckiego życia. Wkrótce też poznałem me stepy, poznałem zasiedlającą je faunę przeróżną, jej życie i zwyczaje i z całą pasją oddałem się myślistwu.

Prócz łownej zwierzyny, jak zająca, dropi, strepietów, słonek, kuropatw, czasem sarn miejscowych, interesowało mnie życie drapieżnych, tak czworonogów jak i skrzydlatych rabusiów, i o tych głównie chcę pomówić. Mym mentorem był stary Kozak Kimacha, potomek zbójeckich Zaporożców, prawdziwy wilk stepowy o sążniowym wzroście, byczej budowy i o stalowych goleniach. Znał stepy jak rodzinną wioskę Strukowę, był mym długoletnim mentorem. On mnie nauczył największej zalety dla stepowego myśliwca, cierpliwości, wytrwałości i spokoju. Jemu też zawdzięczam poznanie życia i zwyczajów stepowej fauny, polowań na różnorodnego zwierza i ptactwo. Jemu też zawdzięczam najwspanialsze me zbiory i zdobycze z tego czasu i tej okolicy. W 1916 r. pożegnałem go jako ślepnącego starca 90 letniego.

Chersońszczyzna, leżąc na głównym szlaku wędrówek wiosennych i jesiennych przelotów ptactwa z południa na północ i odwrotnie, jest nawiedzana przez liczne przelotne ptactwo, za którem w pogoni ciągnie cała zgraja skrzydlatych drapieżników. Prócz stałych, gnieżdżących się tu sokołów, rarogów, jastrzębi, głównie orłów, mieliśmy do połowy lutego masowe ciągi orłów przelotnych, zatrzymujących się długo na stepach. Nigdy też nie brakło mi okazji do spotkania tych królewskich ptaków i zapolowania nań z różnem szczęściem. Temu polowaniu oddawałem się też z całą namiętnością i upodobaniem.

Pewnego mroźnego, mglistego poranku grudniowego, zajechały maleńkie saneczki w nędzną szkapinę zaprzężone przed mą sadybę i szronem okryty Kimacha powitał mnie słowami: „oreł oś sejczas za sełom, jedem panyczu". Do takiej roboty byłem skorszy, niż do tańca i różańca. W pół godziny zobaczyłem orła, żerującego na padle koniny, opodal szlaku czernowskiego leżącej. Orzeł nie zdawał na nas zwracać żadnej uwagi, niekiedy tylko podniósł łeb ku nam, a zmierzywszy dystans nas dzielący, uważał go za dość zabezpieczający go od nas. Zrobiliśmy kilka wielkich kręgów i zbliżywszy się na 100 kroków prawie, gdy ptak przestał rwać kęsy mięsa, strzepnął skrzydłami, zakręcił ogonem, wypuszczając trochę zawartości żołądka dla ulżenia w locie i wzniósł się do lotu. Strzeliłem 2-ma zerami. Ptak opuścił nogi, skręcił się w powietrzu, lecz pociągnął dalej. Jedziemy za nim czas jakiś, a gdy siadł na kurhanie, podjeżdżamy go, a dojechawszy na strzał dałem ognia. — Rozłożył do lotu skrzydła, lecz mając połamane nogi, nie mógł podnieść się, rozpostarszy bezradnie ogromne skrzydła. W domu ulokowałem go w pustej kuchni. Jakże byłem zdumiony a zarazem strapiony, gdy nazajutrz poszedłem odwiedzić mego więźnia! Wybite okno świadczyło o drodze jego ucieczki.

Był to mocno pstry, biało rudy orientalis, dość rzadko spotykany przezemnie. (C. d. n.)

---

czasu nie było. Ukrył się teraz zupełnie, a my czekamy, czy się nie wyłoni z klombu. Gdy tak stoimy jakich kilka minut, towarzysz mnie trąca i pokazuje mi go ręką w miejscu, w którem go ujrzeć się spodziewaliśmy. Szukam go wzrokiem i nie widzę. „Ależ stoi tam, patrzy się na nas!" Nie widzę. Towarzysz bierze lufkę mego karabinka i nadaje jej kierunek ku stojącej sztuce. Patrzę przez lunetę, spostrzegam wreszcie, pada strzał... i o zgrozo! słyszę bek upadającej kózki... Przykra pomyłka, ale nie myślę o niej w tej chwili, rzucam się i przedzieram przez głąb klombu świerkowego, aby jeszcze dopaść mego rogacza, udaje mi się to, spostrzegam go uchodzącego wśród podniosłego lasu, strzelam i naturalnie chybiam! Stara baba działa niezgorzej. Ubicie kozy i chybienie kapitalnego rogacza. Pociechą było przynajmniej, że kózka nie była od małych, nie miała bowiem mleka w wymionach. To już dwa „pechy". Ale na nich nie koniec. Jedziemy dalej. Furman gubi futerał od mojej lunety, którą miał zawieszoną na szyi. To trzeci „pech". Po chwili spostrzegam, że płaszcz mój zsunął się na koło, które go w kawałki potargało — to czwarty. W jakiś czas potem spostrzega mój towarzysz brak swego płaszcza, przepadł po dziś dzień — to piąty. Jeździmy do późnego wieczora po rewirze, w którym spotyka się lekko na strzał kilka dobrych rogaczy przez wieczór, prócz kilku kóz nie widzimy żadnego — to szósty. Musiałem być wieczór we Lwowie, gdyż ktoś z najbliższej rodziny zapowiedział swój przyjazd dnia tego z Warszawy. Przed samym dworcem kolei wjeżdżamy we wsi w ulicę wąską, ogrodzoną z obu stron płotami; stoi w niej cały ogon podwód wyładowanych drzewem; u pierwszej rozsypało się koło. O nawróceniu, cofnięciu, lub przejechaniu niema mowy. Czekamy pół godziny, na to, by zobaczyć w końcu mój pociąg pędzący do Lwowa. To „pech" siódmy.

Nocuję więc już w nadleśnictwie, z tem, że urządzimy jeszcze ranny podjazd. Zrywam się o drugiej nad ranem wśród bicia piorunów, ulewy i takiej wichury, że trzęsie się cały dom. Burza towarzyszy mi aż do zajęcia miejsca w wagonie o godzinie 7 rano. To był ósmy, ostatni „pech", ostatni chyba dlatego, bo dziewiątego nie miał djabeł już gdzie wsadzić.

Przyznacie mi kochani w św. Hubercie Bracia, że wolno mi się odtąd bać życzeń szczęścia przed polowaniem. Smutnem doświadczeniem tem dzielę się z Wami i radzę: gdy stara baba powinszuje któremu z Was szczęścia na polowaniu, niech nie jedzie na nie, lepiej niech pozostanie w domu!

ANDRZEJ STRZEMIĘ CHWALIBOG

Pies przyjaciel

(Dokończenie)

Ważnem jest wyuczenie psa uczciwości, t. j. by nigdy nie brał żadnego pożywienia, jak długo nie da mu się na to pozwolenia, przez powiedzenie: „pif". Również trzeba psa nauczyć, by nigdy nie brał żadnego pożywienia ze stołu lub z ławki, a jedynie z ziemi, bo inaczej będzie kradł. Często jest to wadą odziedziczoną po rodzicach, której dopiero mozolną pracą trzeba psa oduczać, chociaż u niektórych psów złodziejstwo jest tak zakorzenione, że trudno go oduczyć. — Dla młodego psa zwyczajnie wystarczy kilka lekcyj, według poniżej opisanego postępowania. By oduczyć tej wielkiej wady, która często czyni psa niemożliwym w mieszkaniu, postępujemy w następujący sposób: psa zostawiamy samego w pokoju z jedzeniem położonem najpierw na ziemi, później na stołku, a w końcu na stole, rozkazując: „waruj". Samemu wychodzi się do drugiego pokoju i obserwuje się przez szparę, w niedomkniętych drzwiach, co pies robi. Jeżeli po kilku minutach jedzenia nie ruszy, wchodzi się do pokoju, psa się pochwali, pogłaszcze i pozwala mu się zjeść. Jeżeli pies samowolnie przestanie warować i zabiera się do jedzenia, wchodzimy do pokoju i psa ukarzemy i każemy mu warować, poczem wychodzimy z pokoju, powtarzając jak poprzednio całe postępowanie tak długo, aż zastaniemy pożywienie nienaruszone i psa pogłaskawszy i pochwaliwszy, pozwolimy mu zjeść.

Podczas tresury, wogóle trzeba do psa dużo mówić, lecz zawsze tych samych wyrazów używać na wyrażenie tych samych życzeń. Psy bywają różnie uzdolnione, jak to bywa i u ludzi, zdarzają się i mało pojętne, które trudno co nauczyć, lecz przeciętny pies myśliwski, obcujący stale ze swoim panem bez trudności nauczy się znaczenia kilkudziesięciu wyrazów. Zaznaczyć muszę, że wbrew powszechnemu zdaniu, nie uważam, by tylko psy wysoko rasowe, z rodowodami, sprowadzane z zagranicy, były dobre do polowania. Zapewne, że przyjemniej jest mieć psa szlachetnie wyglądającego i rasowego i nieraz łatwiej jest takiego wytresować, jednak jak dotąd, wiele materjału sprowadzanego daje powód do narzekań, albowiem często są to psy, wprawdzie wyglądu rasowego, lecz od kilku pokoleń chowane w miastach dla celów handlowych, które zatraciły zupełnie dziedziczny instynkt łowiecki i zdolności użytkowe, nie podlegały od dziesiątek lat kontroli, to też są zupełnie bezradne. Przeciwnie miałem do czynienia z psami nierasowemi, krajowemi, z wyglądu niewiele obiecującemi, które były bardzo inteligentne, miały znakomity „wiatr" (węch) i wyrobiły się na pierwszorzędne psy użytkowe, to też na te dwie zalety, w pierwszym rzędzie należy zwracać uwagę.

Gdy pies ma 10 do 12 miesięcy (suczki wcześniej bo już po 9 miesiącach) i umie już dobrze tresurę pokojową, bierzemy go w pole t. j. na polowanie. Pierwej jeszcze musi się nauczyć chodzić z myśliwym po polach i lasach, idąc najpierw na smyczy a później wolno za „nogą". — Najlepiej jest pierwsze próby robić we wrześniu, polując na przepiórki, bo jest to zwierzyna dobrze „dotrzymująca" (nie płocha) i rwąca się blisko, więc psa łatwiej jest uczyć. Najważniejszą rzeczą jest, gdy pies „wystawi" zwierzynę, co zwykle niezbałamucony pies sam z natury czyni, by myśliwy spokojnie, (nie biegiem, co często nowicjusze czynią), doszedł do samego psa, pogłaskał go i powiedział: „idź dalej", a w końcu: „pif", poczem nie czekając zbyt długo, by psu nie przyszła ochota pogonić, celnym strzałem ubił zwierzynę. Ogromnie ważną rzeczą jest, by pierwsze strzały były koniecznie celne, by pies widział, że po strzale zwierzyna spada. Teraz daje mu się rozkaz „podaj", (lub „apporte"), czekając w miejscu, gdzie się stało, by pies przyniósł. Jeżeli w pokojowej tresurze dobrze był pies wyuczony: „podawać" i szukać zguby", z pewnością to uczyni; teraz odbierając od niego zwierzynę, daje mu się kawałeczek cukru lub inny smaczny kąsek, do którego w tresurze domowej był przyzwyczajony. W ten sposób pies nauczy się chętnie oddawać zwierzynę i nie będzie jej psuł.

Pies musi się nauczyć dobrze: „przekładać" to jest szukać po obydwu stronach myśliwego jakie 50 do 60 kroków w jedną i drugą stronę, tak, że przeszukuje pas do 120 kroków szeroki. Niemcy uczą psa szukać tylko 20 lub 30 kroków szeroko, u nas jest to nie praktyczne, ze względu na mniejszą ilość zwierzyny, a większe przestrzenie, które mamy do przeszukania. Najpierw musimy psa nauczyć, by się często podczas szukania na myśliwego oglądał, co łatwo osiągniemy, jeżeli w pierwszym dniu nauki szukania w polu, gdy pies przed nami szuka, od czasu do czasu zwracamy nasz pochód w przeciwną stronę. Pies przyzwyczajony iść przed panem, nawraca, lecz w obawie, że pan zmieni kierunek marszu, często się ogląda. Gdy pies się obejrzy, pokazujemy mu wyciągniętą prawą ręką, czy ma szukać po prawej, czy po lewej stronie i jak daleko, bo jeżeli odszedł za daleko, gwizdniemy raz jeden i wyciągniemy prawą rękę pionowo do góry, spuszczając ją prędko na dół, co oznacza, że pies ma przyjść „do nogi" i jeżeli odległość nie jest zbyt wielką, wołamy go głosem. Po jakimś czasie, gdy pies się przyuczy, dobrze jest zupełnie zaprzestać wołania, a sam sygnał ręką wystarczy, co w polowaniu nie raz jest bardzo pożytecznem.

Ucząc psa „przekładania", wykorzystujemy okoliczność, że każdy pies z natury, stara się iść zawsze przed myśliwym w prostym kierunku, jaki się obrało, więc jeżeli gwizdniemy lekko i równocześnie zmienimy kierunek pochodu, to pies zabiegnie w tę stronę w którą skręciliśmy i tak zmieniając co jakiś czas kierunek, przejdziemy drogę zygzakowatą o długości linji prostej od 10 do 20 kroków, pies zaś biegnący od nas znacznie szybciej, przebiegnie równocześnie linię podobną, lecz do 60 kroków długą, tak że licząc z dwóch

stron, przeszuka pas 120 kroków szeroki. Po jakimś czasie pies tak się przyuczy, że stale jak wahadło, będzie to w prawo, to w lewo zmieniał swój kierunek biegu, opisując prawie że regularną linję zygzakowatą, już bez gwizdania, lub wołania, przeszukując dokładnie pole.

Podczas polowania, w wielu wypadkach bardzo pożytecznem będzie jeżeli w zupełnej ciszy zmienić możemy kierunek marszu, lub psa zupełnie odwołać sygnałami dawanemi ręką.

Z praktyki wiemy, jak uciążliwą i szkodliwą rzeczą jest na polowaniu hałas spowodowany przez niedosyć wprawnych myśliwych, którzy swoje, często niesforne wyżły głośnem wołaniem i gwizdaniem starają się w posłuszeństwie utrzymać, a słyszącym ten zgiełk zdawać się może, że tam się odbywa jarmark, nie polowanie! Z psem wytresowanym na „migi" t. j. na sygnały optyczne, nie ma tego kłopotu i nieporównanie łatwiej jest zejść zwierzynę na odległość strzału.

Podczas polowań z nagonką, pies powinien stać za nogą pana, i dopiero po strzale na wyraźny rozkaz pana przynieść zwierzynę, taksamo podczas ciągu słonek.

Po nauczeniu psa szukania zguby w powyżej podany sposób, dobrze jest idąc z psem na przechadzkę, uczyć go szukania zguby „za tropem". Gdy pies już umie dobrze chodzić za nogą, idąc na przechadzkę upuścić nieznacznie chustkę lub rękawiczkę i uszedłszy parę kroków, kazać szukać zguby i przynieść. Z początku robi się to z odległości kilku kroków, później jednak stopniowo na coraz większą odległość. W ten sposób pies nauczy się iść „pod trop" pana, przy szukaniu zguby. W podobny sposób uczy się psa, by za tropem odszukał postrzeloną zwierzynę, a nawet można z wyżła wyrobić znakomitego „tropowca", do odszukania strzelonej grubej zwierzyny. Przy tej nauce dobrze jest używać świeżo ubitego zająca jako „obwłoki", to jest oblekać na sznurku uwiązanego, zabitego świeżo zająca, po ogrodzie, i psu kazać szukać zguby. W ten sposób nauczy się pies przynosić z daleka zające.

W końcu powtórzyć raz jeszcze muszę, że pies myśliwski jest stworzeniem inteligentnem, toteż chcąc go dobrze wytresować, trzeba go traktować łagodnie, sprawiedliwie, postępować konsekwentnie, nie bić, za dobrą służbę chwalić i wynagradzać na polowaniu, celnie strzelać i lepiej nie strzelić niż pudłować.



DR. STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Gawędy o własnościach zwierząt

(Dokończenie)

Sławny podróżnik Wissmann opowiada, że słonie płaczą, poczuwszy krew zabitego pobratymca. Koń Wissmanna żadnym sposobem nie dał się przeprowadzić obok zabitej zebry.

Thompson w swej pracy „Bingo i inne historje o zwierzętach" przytacza dziesięć przestróg, które liszka-matka dała swoim dzieciakom

1. Pamiętaj, by na własnym tropie nie sypiać.
2. Pamiętaj, że nos masz przed oczyma, więc ufaj zawsze przedewszystkiem nosowi.
3. Pamiętaj, że tylko głupiec ucieka albo goni z wiatrem.
4. Pamiętaj, że bystry ruczaj leczy niektóre dolegliwości.
5. Pamiętaj, byś nigdy prostą drogą nie szedł, skoro możesz odnaleźć krętą.
6. Pamiętaj, że wszystko, co ci się wydaje obce, jest też i wrogie.
7. Kurz i woda źle wpływają na węch.
8. Nie poluj nigdy na myszy w takim lesie, w którym są zające, a na zające w kurniku.
9. Przez łąki lepiej nie biegaj.
10. Nie goń nigdy tego, czego dobrze nie zwietrzysz.

Powyższe przestrogi liszki dadzą się zastosować do wszystkich zwierząt węchowych.

II.

Wśród ludu i nawet inteligentnej części społeczeństwa krąży dużo opowiadań o właściwościach zwierząt domowych i dzikich, które często nie są zgodne z rzeczywistością.

Powszechnie naprzykład twierdzą, że karmienie młodych szczeniaków mięsem, albo, broń Boże, kośćmi, bywa przyczyną łzawienia oczu i psiej choroby. Pogląd ten jest, jak każdemu z hodowców wiadomo, zupełnie błędny, a dla młodych psów nawet katastrofalny.

Jakim sposobem najłatwiej i najskuteczniej poznać, który ze szczeniaków jest najlepszy w rzucie? Znawcy i na to mają swój sposób. Otóż radzą, by sukę ze szczeniętami przenieść w takie miejsce, żeby ona była zmuszona sama szczeniaki swoje potem znów w pysku przetransportować. Podobno suka zawsze chwyci nasamprzód za najsilniejszego i najładniejszego szczeniaka. Nie mogę stanowczo zaprzeczyć, że suka postępuje inaczej, ale powstaje zarazem pytanie, czy suka nie przenosi w bezpieczne miejsce najpierw może najsłabszego dzieciaka. Przecież i taka kombinacja też jest możliwa i do wytłómaczenia. Moi znajomi hodowcy, jakoteż i ja osobiście jesteśmy zdania, że suka przenosząc swoje szczenięta, chwyta po kolei jedno za drugiem, nie wybierając ani ładniejszego ani mocniejszego. Zdanie moje opieram na tem, że podczas czynionych na ten temat doświadczeń, suka raz najpierw wzięła jednego szczeniaka a drugim razem znów innego.

W okolicach, gdzie wilki przebywają, mieszkańcy podobno potrafią odróżnić psa-wilczura szczeniaka od szczeniaka wilczka. Różnica polega na sposobie picia wody.

Wiadomo, że tam gdzie wilki bytują rok rocznie, dużo psów domowych pada ofiarą wilków i mieszkańcy są często zmuszeni do nabywania młodych psów w celu obrony domu, względnie swych stad. Ponieważ nierzadko wilczyce wchodzą w stosunki małżeńskie z psami domowemi, więc potomstwo niewiernej wilczycy jest różnorodne: częściowo z właściwościami psa domowego, albo też drapieżników wilków. Wilczyca-matka chce się pozbyć tych szczeniaków, które zdradzają właściwości psów domowych i czyni to w następujący sposób. Prowadząc po raz pierwszy swoje dziatki do poju, zwraca uwagę, które z nich pije jak owca i to zatrzymuje przy sobie. Natomiast te wilczki, które piją wodę jak psy, niemiłosiernie do wody wrzuca i od nich ucieka, zostawiając je na pastwę losu. Mieszkańcy znając ten sposób wilczycy i wierząc święcie, że wilczyca tak postępuje ze swojemi szczeniakami-psami, zawsze czyhają nad rzekami na chwilę pojenia szczeniąt przez matki - wilczyce i chwytają wtedy młode, które jako psy domowe wychowują.

Pogląd, że wilk pije wodę jak owca jest bardzo często podawany, jako różnica między psem-wilkiem, a wilkiem czystej krwi.

Zastanawiając się nad słusznością takiego poglądu, przedewszystkiem stwierdziłem, że sposób picia wody psów polega na kształcie i wielkości pyska psa. Ponieważ wilk ma podobny kształt pyska, jak i pies, więc inny sposób picia wody wydaje się zupełnie niemożliwym. Zresztą chlipanie wody, tak jak to czyni pies, jest bardzo praktyczne, gdyż umożliwia psu ugaszenie pragnienia nawet z najpłytszego bajorka, lub bagna. Kształt pyska potwierdza, że pogląd, jakoby pies inaczej pił, aniżeli wilk, jest mylny.

Brehm, jakoteż i inni badacze życia zwierząt o kwestji tej ani słówkiem nie wspominają.

Jeżeliby rzeczywiście taka poważna różnica istniała między psem a wilkiem, to wtedy przecież wszystkie spory na temat, czy „Adjag“ (Canis sumatrensis), który dzisiaj jest jedynym przedstawicielem psa w stanie dzikim, jest psem czy wilkiem, musiałyby eo ipso ustać. Podpatrzeć, wystarczyłoby, jak Adjag pije, a spór byłby bezcelowy.

Również podpatrzenie wilka znajdującego się w niezliczonej liczbie prawie we wszystkich ogrodach zoologicznych musiałoby dać stanowczy i nieomylny rezultat. Zauważono jednak, że wilk pije wodę podobnie jak pies.

Jak wytłómaczyć powstanie takiej legendy wśród ludu trudno dociec, tembardziej, że Homer w Iljadzie w księdze XVI, wiersze 120—125, wyraźnie podaje sposób picia wilków:

A jako srogie wilki i niesyte ścierwa,
Na górze rogatego zabiwszy jelenia,
Jedzą go, krew im brzydkie paszcze zaczerwienia,
Potem do źródła idą rozbójniki,
Chłodzą się, chlipając wodę chciwemi języki.

III.

Papinkarzy znajdujemy nietylko wśród ludzi, lecz także wśród zwierząt.

Zasadnicza różnica między łakotnisiami-ludźmi a zwierzętami polega na tem, że człowiek może się bez przysmaczków obejść, natomiast zwierzę, kosztem choćby największych trudów, zdobyć je musi, gdyż są one podstawą jego życia i bytu.

Upodobania zwierząt pod względem pożywienia są tak różne, jak rozmaite są gatunki zwierząt. Tysiące, tysiące najrozmaitszych trawek, kwiatów, krzaczków i drzew, to przebogaty stół biesiadny miljonów stworzeń, od najmniejszego robaczka do najpotężniejszego zwierzęcia.

Lew, tygrys, wilk, ryś, żbik, na i cały szereg innych drapieżników muszą bezwątpienia być au courant właściwości tych zwierząt, które mają im służyć jako pokarm, gdyż w przeciwnym wypadku skazaneby były na śmierć głodową. Tak samo sarny, jelenie i wszystkie ptaki znać muszą dokładnie faunę roślinną i życie owadów w celu odpowiedniego wynalezienia miejsca ich bytowania i wegetacji.

Człowiek polujący na wszystkie gatunki zwierząt, chcąc bezapelacyjnie zasłużyć na miano myśliwego, musi do najdrobniejszych szczegółów poznać i przeniknąć upodobania zwierząt. Im lepiej pozna myśliwy właściwości zwierząt, tem pewniejszy jest i zwycięstwa i bezpieczeństwa.

Niegdyś, kiedy zaludnienie nie było tak gęste, kiedy bory i lasy stanowiły bogactwo olbrzymie, myśliwy znać musiał tylko miejsce, gdzie zwierzyna, na którą polować zapragnął, przebywa. Dzisiaj sytuacja się zmieniła. Myśliwy, chcący posiadać zwierzynę do polowania, musi o nią dbać i nią się poważnie opiekować. Musi chronić ją przed drapieżnikami, ptakami, zwierzętami i ludźmi, musi opiekować się nią podczas lęgów, musi chronić ją przed niespodziankami atmosferycznemi. Nie podoła swemu zadaniu, skoro nie pozna szczegółowo zwyczajów i właściwości zwierząt.

Najwięcej błędów popełnia człowiek przy podawaniu karmy zwierzętom podczas zim surowych, lub obfitych opadów śnieżnych. Sądzę, że lepiejby uczynił opiekun zwierząt, gdyby wogóle nie karmił zwierzyny, aniżeli podawał jej karmę taką, którąby przyczynić się miała do choroby, a w konsekwencji do śmierci danej zwierzyny. Podawać karmę zwierzynie musi się ostrożnie, i po poważnem zastanowieniu nad rodzajem zwierzęcia i przeznaczonej paszy.

Jaskrawy przykład mamy z wyników karmienia podczas zeszłorocznej zimy. Według zebranych dotychczas dat okazuje się, że w tych miejscowościach, gdzie sarnom i jeleniom podawano tylko paszę suchą (siano, koniczynę) piękne te zwierzęta ginęły masowo. Natomiast w tych miejscach, gdzie ograniczano się do ścinania drzew i do urządzania legowisk przez rozgrabywanie

śniegu i ścielenie słomą lub gałęziami szpilkowemi, sarny przezimowały dobrze w 90 a nawet 100%. (Wiadomość otrzymana od p. Redaktora Mniszka).

Smutny fakt powyższy świadczy, jak mało zastanawiamy się nad tem, co zwierzyna wymaga dla racjonalnego bytowania, nie ulega bowiem wątpliwości, że sarny i jelenie musiały wyginąć, skoro odżywiane były tylko paszą suchą.

Wiemy dobrze, że krowy po przezimowaniu w oborze, wypuszczone na zieloną paszę, w pierwszych dniach zazwyczaj niedomagają. Będąc w stanie dzikim, bydło domowe chorowało w warunkach odwrotnych.

Sarny i jelenie należą do tego rodzaju pochworogich zwierząt, które udomowić się nie dają, tylko najwyżej ułaskawić. Karmiąc się całe lato jedynie paszą zieloną, soczystą, co najlepszą, cierpią podczas zimy z powodu braku paszy świeżej zastępując ją sobie gałęźmi topoli, wierzby, osiki, wrzosem i innemi roślinami leśnemi. Nawet w lecie, wtedy gdy karmy zielonej ma sarna lub jeleń poddostatkiem, spostrzegamy, że z zamiłowaniem objada korę z drzew. Kora dla sarn i jeleni to deser po sutym obiedzie. Jelenie i sarny pozostawione jedynie na paszy suchej, nie mając możności z powodu ostrej zimy, lub wysokich śniegów dobrać się do krzewów, początkowo chorują na biegunkę, a osłabłszy padają ofiarą śmierci głodowej, kłusownika lub drapieżnika. Racjonalne podawanie paszy zwierzętom udomowionym, obłaskawionym i dzikim, w celu podtrzymania ich przy życiu, względnie w celach rozmnożenia, albo hodowlanych, polega na zaspokojeniu ich żołądka ulubionemi smakołykami.

Nietylko sarna, jeleń, zając i kuropatwa są wybredne w jedzeniu. Spotykamy to i u innych zwierząt.

Królem łakotnisi jest małpa. Wiemy o tem, nietylko dzięki obserwacji życia małp w stanie dzikim, lecz również z hodowli w zwierzyńcach i w domach. Ten kto chował małpę w domu, wie, że potrafi ona być do uprzykrzenia grymaśną i ulubionym jej smakołykiem da się łatwo w pole wyprowadzić. Małpa skosztowawszy raz mięso, formalnie przepada za niem i używa pociesznych forteli, by je zdobyć.

Lwy, tygrysy, jaguary zabijają zazwyczaj najokazalsze i najtłuściejsze ze stada sztuki i zjadają z nich conajlepsze, zostawiając hjenom, sępom, szakalom ochłapy.

Leopardy, pumy, rysie, żbiki to istni gourmani. Wdarcie się jednego z tych drapieżników do stada, znaczy kompletna ruina dla właściciela. Brehm twierdzi, że puma nie tknie cuchnącego mięsa. Bezwzględnie woli ciepłą krew. Puma, naprzykład, mając apetyt wspaniały, wpadłszy do stajni, nie zadowoli się zabiciem jednego zwierzęcia i wypicia z niego krwi, ale ofiarą jej pada zazwyczaj kilkanaście sztuk. Jednej nocy zabiła puma 18 owiec i z ani jednej sztuki nie tknęła kawałeczka mięsa, tylko po mistrzowsku z każdej krew wypiła. Gdy na drugi dzień mordercę upolowano, prócz krwi, nie znaleziono w żołądku nic. Pumy, leoparda, żbika i kuny więcej się obawiają pasterze i farmerzy, aniżeli lwa.

Wilk i lis są omnivora t. j. wszystkożerne zwierzęta. Szakal natomiast to smakosz. Upolowawszy antylopę, zjada z niej tylko najlepsze cząstki.

Znane jest nam też łakomstwo niedźwiedzi. Przepadają za miodem. Opowiadają, że w niektórych okolicach niedźwiedzie przewracały słupy telegraficzne (ciężka praca), przypuszczając, że brzęczenie drutów telegraficznych jest rojem pszczół.

Tchórze, kuny, łaski to rodzina gourmanów-karłów.

Często czytamy ogłoszenia, że tresowane łasice, do polowania na króliki, są do sprzedania. Niezupełnie odpowiadają one celowi. Skoro natrafi ona w norze na młode króliki, to wypije z nich krew i ułoży się spać, a myśliwy może czekać do rana, aż z nory wyleźć raczy. Nadmiar wypitej krwi działa na zwierzę podobno udurzająco.

Nielada smakoszem jest wydra. Brehm powiada, że małe rybki zjada ona, pływając, we wodzie, duże natomiast wyrzuca na brzeg. Ucztę swą rozpoczyna wydra zawsze od grzbietu ryby, pozostawiając wnętrzności, ogon i głowę. W okolicach, gdzie ryb jest obfitość, łatwo zauważyć, jaki to z niej smakosz. Zdarza się, że wydra jednego dnia kilka ryb upoluje, ale zje tylko najlepsze kawałki z nich. Mieszkańcy nadbrzeżnych okolic, obfitych w ryby, nie przeszkadzają wydrze w uprawianiu jej myśliwstwa, bo bez trudu zdobywają dla siebie pokarm pozostawiony przez wybredne zwierzę.

I myszka domowa jest, jak wiadomo łakotnisiem. Lenz opowiada zdarzenie następujące. Siostra jego usłyszała wieczorem w piwnicy jakieś szmery, a potem pisk. Z latarnią obszukała wszystkie kąty w piwnicy, aż nareszcie znalazła myszkę zupełnie pijaną obok butelki malagi. Myszka dała się bez trudu chwycić. Butelka była nieszczelnie zakorkowana i boski nektar sączył się z niej. Myszka wykorzystała sytuację i wpadła w ręce prześladowców.

Myśliwi twierdzą, że i zając jest wybredny w żarciu. Zając wpadłszy w kapustę, skrzętnie omija główki duże, wyrośnięte, wybierając tylko młode, małe, jako prawdopodobnie więcej soczyste. To samo czynią sarny i jelenie, omijając trawy wysokie i gęste, a odwiedzając trawy młode i pachnące. Nie idzie im o ilość traw, tylko o jakość.

O tem, która woda jest najsmaczniejsza, najlepiej powie nam koń. Nie tknie się on wody cuchnącej, nieświeżej.

Ze zwierząt domowych świnia należy do wszystko i obficie żernych. Smakoszem jest koza i kot. Pies bezwzględnie należy do rzędu wybrednych w jedzeniu. Wystarczy psu podać kilka dni pod rząd mięso, albo chleb z masłem, a nie tknie więcej suchego chleba i nieomaszczonego jedzenia.

Jednem słowem, ludzie smakosze mają bardzo poważnych konkurentów, względnie współtowarzyszy w świecie zwierząt. Powtarzam jednak, że zwierzęta smakołyki swoje mieć muszą, a ludzie obejść się mogą, jak mówią, smakiem.

PROF. A. WICHTL

Powonienie u Ptaków

(z czeskiego przełożył Wł. Karnkowski)

Pod względem czułości powonienia, dzielimy zwierzęta na osmatyczne, mikrosmatyczne i anosmatyczne. — Osmatyczne mają powonienie tak czułe, że my — ludzie — sprawy sobie z tego nawet nie zdajemy. Zmysł ten jest wtedy zmysłem głównym, którym zwierzę posługuje się przy wyszukiwaniu pożywienia, płci drugiej, drogi i t. p. Za przykład służyć tu może pies. — Zwierzęta mikrosmatyczne mają wprawdzie powonienie, lecz słabe; zmysł ten nie odgrywa żadnej roli wybitnej, jest pomocnym jedynie przy rozeznawaniu jakości pobieranego pożywienia. Typem tutaj jest człowiek. — Wreszcie zwierzęta anosmatyczne — jak np. wieloryb — nie zdradzają żadnego powonienia.

Zachodzi pytanie, do jakiego rzędu zaliczyć należy ptaki? Już z tego że ich narządy węchowe są nader słabo rozwinięte, wnosićby należało o niskim rozwoju zmysłu powonienia wogóle. Z przykładów jednak, przytaczanych przez badacza tej kwestji dr. Sondka wynika, że uczeni nie zupełnie się tu z sobą zgadzają. Np. Raspail twierdzi, że kuropatwa i bażant wychodząc z lasu w pole „wietrzy" nie gorzej od zająca — o dzikich gołębiach zaś mówi, że „wietrzą" strzelca, ukrytego w budce. Bażanty miały według niego wyczuć wodę, oddaloną o 180 m, kuropatwy węchem dojść do zasypu, wreszcie sikorki zwęszyć ser przykryty warstwą obojętną. Częściej były czynione doświadczenia z węchem sępa, chociaż i tu główną rolę grał prawdopodobnie fenomenalny wzrok tego ptaka, oraz silny zapach padliny, głównego pożywienia sępów.

Dr. Sondek robił doświadczenia z gołębiami, a więc z ptakami, o których się i tak twierdzi, że mają węch dość rozwinięty. Namoczył ziarno raz w xylolu, drugi raz w olejku anyżowym. Otóż gołąb ziarno anyżowe znalazł łatwo, xylolowego unikał. I tu jednak rozstrzygał wzrok: ziarno xylolowe różniło się wyglądem (wilgotne) od anyżowego (suche). Następne doświadczenie było z wodą. W jednem naczyńku była czysta, w drugiem — podobnem silnie aromatyczna. Okazało się, że gołąb naprzód spróbował, potem się napił — powonieniem zaś nigdy się nie kierował. Po zabarwieniu jednej wody — nie omylił się ani razu. — Te same próby z kuropatwami, dawały te same wyniki. — O wiele ciekawsze było doświadczenie z kuropatwami i psem. Należałoby się spodziewać, że instynktowny strach kuropatw przed psem objawi się i wtedy, kiedy go nie widzą, o ile oczywiście zdolne by były go wyczuć. Dr. Sondek dopuścił psa do samej skrzyni z ptakami, tak, że zapach jego mógł łatwo przeniknąć szparami skrzyni. Kuropatwy, póki psa nie widziały, zachowywały się zupełnie spokojnie, grzebały i dziobały bez najmniejszej obawy. Dopiero, kiedy pies stanął przed siatką drzwiczek, biedaczki — pełne strachu — próbowały się zerwać do lotu. Kiedyindziej domieszał dr. Sondek do ziarna gliny przesiąkłej lisim moczem. Zapach i dla człowieka był odrażająco silny, lecz kuropatwy dziobały cuchnące ziarno równie dobrze, jak świeże i czyste. Z tego wynika, że kuropatwa i na swobodzie nie poczuje bliskości lisa.

Próby przy pomocy wody aromatycznej robił tensam badacz z puszczykiem, kaczką, drozdem i gilem, Wyniki były wciąż te same. Gawronom dawał ziemniaki z mięsem, przykryte dość grubo śniegiem. Ptaki żer znalazły, orjentując się świeżo poruszonym śniegiem. Żeru, przykrytego gęsto padającym śniegiem, nie znalazły wcale. Mamy tu więc do czynienia ze wzrokiem, nigdy zaś z powonieniem.

W życiu ptaków zatem — wzrok znakomicie przeważa nad powonieniem. Badacz dochodzi do wniosku, że ptaki węchu wogóle nie mają. Już samo umieszczenie nosa w miejscu skrytem na dziobie — świadczy o podrzędności tego zmysłu. Za to dominuje wzrok. Oto przykład: Badacz wpuścił do gołębia — samca — drugiego samczyka chorego. Zdrowy zaczął wnet gruchać i ciekawie obskakiwać gościa. Ten — będąc chorym — nie odzywał się i skulony ustępował zupełnie, jak samiczka. To wystarczyło. Zdrowy samiec, biorąc przybysza za samicę, wskoczył mu na grzbiet z zamiarem dopełnienia aktu kopulacyjnego. Podobnie zachował się potem wobec gołębia wypchanego. I gdzie tu może być mowa o powonieniu?

Jakkolwiek tedy wszelkie doświadczenia bywają zawodne, wystarczy, mojem zdaniem tych kilka wyżej przytoczonych prób, by z całą pewnością uznać ptaki za zwierzęta anosmatyczne.



JAN MARCINKÓW

Porównanie lisa z myszołowem pod względem użyteczności i szkodliwości

Wobec tak rzeczowego rozstrzygnięcia znakomitego ornitologa, p. Janusza Domaniewskiego, czy myszołów jest pożytecznym czy szkodliwym, w „Łowcu" Nr. 5 z 1 marca 1930, nie ulega kwestji, że polemika na temat myszołowa może być uważana za zakończoną.

Wywody p. Domaniewskiego przypominają mi analogiczne fakty co do lisa.

Wiemy, jak wszędzie i we wszystkich czasopismach łowieckich, zwłaszcza niemieckich, oskarżają lisa, jako groźnego mordercę wszelkiej zwierzyny i drobiu.

Ile to corocznie przez tych rabusiów pada młodych przeważnie zajączków, sarniątek, kuropatw, przepiórek, jarząbków, słonek, głuszców, cietrzewi, gęsi, kaczek, kur i t. d.

Nie biorę lisa wcale w obronę i nie ujmuję mu łajdackiego sprytu w chwytaniu tego, co mu smakuje. — Dlaczegożby zresztą zakazane przez myśliwego-hodowcę owoce, czy smakołyki nie miały smakować.

Jednakowoż, o ile mnie nie tak jeszcze bardzo długa bo zaledwie 56-letnia praktyka myśliwska pouczyła, to lisowi należy przypisać też i dużą dozę pożyteczności, pomijając bądź co bądź piękne futerko, ulubioną ozdobę jako boa, dla pań.

W mej praktyce myśliwskiej, bardzo często po strzale lub złapaniu lisa w żelaza i po zdjęciu drogocennego futereczka, z ciekawości zrewidowałem nieraz jego różne kieszonki, głównie pugilares w formie żołądka, jako świadka prowadzenia się jego.

I sprawdziłem, że we wszystkich prawie wypadkach, były tam myszy i myszy i jeszcze raz myszy, i czyż wobec tego lis nie jest „myszołowem" Nr. 2?

Czasem nie brakło włosów bydlęcych ze ścierwa, — no i puszek z zajączka lub sarny, ale to bardzo rzadko.

Pewnego razu na wiosnę w kwietniu, u złapanego lisa w żelaza, znalazłem żołądek przepełniony, prócz kilkoma myszami, też żabami i padalcami. Z końcem maja strzelony lis miał żołądek przepełniony samemi turkociami podjadkami (grilus grilotolpa), tak wielkiemi szkodnikami dla roślinności i ogrodów warzywnych i kwiatowych.

Więc lis, podobnie jak myszołów, żyje przeważnie myszami, a nawet żabami i padalcami no i owadami, przynosząc przez to rolnictwu nieocenione usługi.

Pozwolę sobie zatem powtórzyć tak trafne zdanie p. Domaniewskiego, że na podstawie pojedyńczych faktów przygodnie zaobserwowanych (np. że lis zjadł zająca lub kurę) nie można przesądzać tego, co się dzieje w przyrodzie".



Korespondencje

Lesko, w lipcu 1930

W lasach leskich w rew. Gruszka, na starej jodle, w gnieździe po jastrzębiach, założyła gniazdo para czarnych bocianów. W gnieździe są trzy młode bociany. Stare można łatwo podejść siedzące na jodle obok gniazda. — Widuje się je tu żerujące na opodal płynącym Sanie.

A. Krasicki
delegat liski

Radziechów, (Pukaczów) w lipcu 1930

„Kubuś" uciekinierem — „Kubuś" strażnikiem lasowym „Kubuś" niewdzięcznikiem!

Jeszcze dobrze świtać nie poczęło, gdy na leśnictwie w Pukaczowie wszczął się wielki ruch. Z ust do ust, podawano sobie wiadomość: „Kubuś uciekł w nocy — Kubusia niema!" Pozrywali się domownicy, rozbiegli się po lesie za kubusiem, lecz niestety, bez skutku.

Tymczasem Kubuś, hasał sobie po lesie, a że pierwszy raz w życiu widział niebotyczne sosny, dęby, świerki, modrzewie, młode kultury, łozy, łąki i inne osobliwości leśne, o istnieniu których nawet pojęcia niemiał, więc też zachwycał się wszystkiem, a wciągając noskiem balsamiczną woń leśną, o wszystkiem zapomniał.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy Kubuś w wycieczce swojej, spostrzegł na wysokim lesie, dwa zwierzątka zupełnie do siebie podobne, i to jedno z różkami szóstaka, drugie widłaka, pasące się na lesie. Zaciekawiony i ucieszony, podchodzi w pląsach do nich, przedstawia się, a że zwierzątka te, poczuły odrazu że przybysz, to jakiś pierzynkarz i pokojowiec, bardzo oziębłe przyjęły go, co Kubusia tak rozgniewało, że z miejsca zaatakował silniejsze zwierzątko o rożkach szóstaka, i po krótkiej walce, zmusił oba te zwierzątka do ucieczki, pozostając sam na lesie. Scenie tej przyglądał się gajowy przez binokle tak długo, aż zupełne ciemności pokryły las.

Na drugi dzień rankiem, Kubuś w dalszej swojej wycieczce po lesie, wyszedł na zakulturowany zrąb, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy na zrębie zobaczył rozścieloną na ziemi dużą białą płachtę —a na niej moc trawy, nażętej sierpem. Niepodobało to się Kubusiowi, podszedł więc bliżej, trawę różkami rozrzucił, weretę na bok odrzucił, dziurawiąc ją w kilku miejscach, a spostrzegłszy w czasie końcowej swojej pracy, opodal jakąś kobietę na zrębie i domyśliwszy się w niej właściwą winowajczynię, i dalejże różkami operować jej odzież. Rozdarł jej spódnicę, kaftanik, i już do jej skóry dobierać się zaczął, gdy ta złapawszy oboma rękami Kubusia silnie za rożki, dzikim krzykiem zaczęła wołać o pomoc.

Na krzyk wołającej nadbiegło 3 kosiarzy, którzy łąkę chłopską pod lasem kosili, i widząc co się dzieje,

z krzykiem „wściekły rogacz" rzucili sie na Kubusia. I byłby Kubuś pewnie życiem przepłacił swoją swawolę, gdyby nie gajowy, który usłyszawszy również krzyk zaatakowanej, z przeciwnej strony na pomoc nie pospieszył, a poznawszy Kubusia, z rąk ich go uwolnił, i na leśnictwo sprowadził. Uciesze końca nie było, gdy Kubusia obaczono, obcałowano jego śliczną główkę na wszystkie strony, nakarmiono, napojono i pozwolono Kubusiowi w ogródku kwiatowym odpocząć. — Odpoczywał Kubuś całą niemal dobę, a odpocząwszy sobie dobrze, powstał i dalejże dobierać się do kwitnących róż, zjadając je pełną buzią. Nie podobało się to zarządcy rewiru p. G. który przez okno mieszkania to widząc, wyszedł i krzyknąwszy głośno na Kubusia, zjadania róż stanowczo mu zabronił. Kubuś, uczuwszy się obrażony podobnem traktowaniem, w jednej chwili zajmuje pozycję odporno-zaczepną, główkę swoją w bok skrzywił, a ciskając piorunujące spojrzenia w stronę nieprzyjaciela, przednim badylem zaczął gwałtownie drzeć ziemię pod siebie, co oznaczać miało, uciekaj — pókim dobry! — Pan G. mając już dosyć wojny światowej, i niechcąc wszczynać wojny domowej i to ze swoim ulubionym wychowankiem, zrozumiawszy ten gest, zaczął tyłem cofać się ku gankowi, i już prawie był na stopniach ganku, gdy Kubuś wykonuje atak tak szybko i zręcznie, że nieprzyjaciel w jednej chwili runął na ziemię, z dwoma ranami w prawej łydce, z których jedna aż do samej kości sięgała.

No — to już nawet i Kubusiowi nie mogło ujść bezkarnie, to też na radzie familijnej zasądzono Kubusia na bezterminowy areszt w ogrodzeniu mającem około 50 m^2 obszaru, gdzie Kubuś obecnie o twardem łożu, nad niewdzięcznością swoją, wobec swoich dobrodziejów, skruchę czyni.

Hipolit Neumann
delegat kamionecki

Międzynarodowe strzelanie do rzutków w Zoppotach

W dniach 14—16 lipca b. r. odbyło się Międzynarodowe strzelanie do rzutków, na stałej, specjalnie urządzonej strzelnicy, znajdującej się na torze wyścigowym w Zoppotach.

Według narodowości podzielić można było strzelców na Polaków i Niemców. — W skład drużyny polskiej pod przewodnictwem Prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, P. pułk. Chłapowskiego wchodzili PP.: 1) Kiszkurno J. z Budzewa pow, Koło, — 2) Czerski z Warszawy, — 3) kapit. Sztukowski z Warszawy, — 4) Goliszewski z Rembertowa, — 5) Tadeusz Barański z Łukawicy, — 6) Zieleniewski ze Smolic pow. Łęczycki i 7) Łyskowski z Pomorza polsk. — Poza drużyną brał także udział Dr. Ciążyński z Leszna. — Z obywateli Państwa Polskiego, nie jako drużyna polska, ale jako Członkowie Związku Ochrony łowiectwa, brali udział PP.: Steliński, Polak i 3 Niemców, v. Schuleman, v. Hoenig i v. Bieler, wszyscy właściciele dóbr z Pomorza polsk., tych do Drużyny polskiej zaliczać nie można.

Prezes P. pułk. Chłapowski, — który nadzwyczaj dzielnie i energicznie bronił barw i interesów Drużyny polskiej, a z którym Związek Gdański Ochr. łow. bardzo się liczył i powodował jego zdaniem, — przywiózł jako dar i nagrodę Centralnego Związku Myśliwych w Warszawie, żubra z bronzu, przeznaczoną dla najlepszego strzelca zwycięskiej drużyny, przy strzelaniu drużynami — zespołami (Nr. 5). Nagroda ta była według mnie najstosowniejszą i najpiękniejszą może, resztę nagród stanowiły piękne krzyształy i przedmioty ze srebra (misy, puhary, kubki).

Strzelców dzielono na trzy klasy, według ilości zbitych rzutków :

Specjalna — nadzwyczajna klasa:
S. mająca 90 i więcej zbitych na 100 szt. rzutków
A. „ 70 — 89 zbitych na 100 szt. rzutków
B. „ niżej 70 zbitych na 100 szt. rzutków.

Podział ten uważam za bardzo właściwy i wskazany, nie wyklucza on bowiem słabszych strzelców od strzelania i daje im zachętę do dalszego ćwiczenia i wyrobienia się! Możliwe, że byłby on właściwszy na zwykłych klubowych czy krajowych strzelaniach, a nie na międzynarodowych, gdzie powinni strzelać tylko najlepsi.

Członkowie Drużyny polskiej należeli tylko do kl. S. i A. a to: do kl. S.: pp. Kiszkurno, Barański, Sztukowski i Zieleniewski; — do kl. A.: pp. Czerski, Łyskowski i Goliszewski.

Do kl. B. należał z poza Drużyny pol. Dr. Ciążyński.

Porządek strzelań:

Poniedziałek 14 lipca od godz. 9-tej do wieczora.

1) Strzelanie serjami po 10 szt. (Kartenschiessen). Próba sił! Ci którzy zrobili po 3 dziesiątki, rozstrzeliwują się w serji po 10 sztuk na 15 m. Strzela wszystkich 23-ch, w tem 6 z Drużyny polskiej (p. Zieleniewski jeszcze nie przybył). Z Drużyny polsk. zdobywa I-szą nagrodę kl. A. p. Czerski. Nadto III-cią nagrodę kl. B. Dr. Ciążyński.

Nagrody otrzymali:

Kl. S. I a Donop	II Hoenig	III Goeldel
Kl. A. I a Czerski	II Dr Thiede	III Schuleman
Kl. B. I a Steliński	II Ziehm	III Dr Ciążyński

Wtorek 15 lipca od 9-tej rano do wieczora.

2) Strzelanie pojedyńcze o Mistrzostwo Zoppot. 100 rzutków na 15 m. — Strzela razem 25-ciu, w tem 7 z Drużyny polsk. + Dr. Ciążyński. Mistrzostwo Zoppot (Meisterschafft) zdobywa p. Kiszkorno, 97 zbitemi rzutkami po rozstrzeliwaniu się z p. Donopem z Gdańska (10 rzutków na 20 m), główną nagrodę wazę kryształową ogromną na srebrnej podstawie z takiemż przykryciem. Nagrody zdobywają:

w kl. S. Kiszkurno	II Donop	III Hoenig
w kl. A. Schuleman	II Bieler	III Dr Thiede
w kl. B. Jebens	II Jobst	III Montü

Wynik strzałów wszystkich strzelających Kl. S. 87—97 rzutków, Kl. A. 80—91, Kl. B. 56—82.

Środa 16 lipca 9-ta.

3) Strzelanie o nagrodę Kasyna Zopott (misa srebrna), pojedyńcze, 100 rzutków na 15 m, serjami.

Strzela razem 21. — Z Drużyny Polskiej zdobywa III-cią nagrodę p. Łyskowski w Kl. A. 94 zbitemi rzutkami.

Nagrody otrzymali:

Kl. S. I Hoenig*	II Donop	III Goeldel
Kl. A. I Bieler	II Schuleman	III Łyskowski
Kl. B. I Schönfeldt	II Ziehm	III Frankenstein

Ogólny wynik strzałów wszystkich: Kl. S. 94—99 zbitych rzutków, Kl. A. 83—97, Kl. B. 68—88.

Środa 16 lipca godz. 16-ta.

Strzelanie pocieszenia, dla tych, którzy nie zdobyli nagrody w strzelaniu Nr. 3. — 20 rzutków na 15 m, o 3 nagrody. ZDrużyny polskiej zdobywają: I-ą p. Zieleniewski, III-cią p. Goliszewski. — II-gą nagrodę p. Schrötter, Niemiec. Wynik 12—20 rzutków. Strzelało 9-ciu razem.

Środa 16 lipca godzina 17-ta.

5) Strzelanie drużynami — zespołami (Mannschafftsschiessen). Każdy po 100 rzutków na 15 m, po 4 strzelców w drużynie. Strzela 3 drużyny, Polska, Gdańska i Pomorska. — Zwycięża pomorska 376 zbitemi rzutkami na 400. Nagrodę: żubra z bronzu zdobywa p. Hoenig 97 zbitemi rzutkami. Skład drużyn i wynik strzałów.

Drużyna pomorska:

Hoenig	10	9	19	17	20	20	= 97	razem 376 na 400
Łyskowski	8	10	20	18	20	16	= 92	
Schuleman	9	7	20	19	18	20	= 93	
Bieler	8	10	20	19	18	19	= 94	

Drużyna polska:

Kiszkurno	10	10	20	20	19	20	= 99	razem 371 na 400
Czerski	7	9	19	20	16	20	= 91	
Barański	9	9	18	19	15	18	= 88	
Sztukowski	9	10	20	18	18	18	= 93	

Drużyna gdańska:

Donop	10	9	17	18	19	17	= 90	razem 339 na 400
Franz	8	9	15	17	17	16	= 82	
Schrötter	8	8	20	15	16	15	= 82	
Schönfeld	9	7	18	17	18	16	= 85	

Uwaga: Miało strzelać po 6-ciu strzelców w drużynie, ale Drużyna polska nie mogła postawić 6-ciu strzelców, zaś p. Prezes Chłapowski sprzeciwił się, by do Drużyny gdańskiej należeli pp. Schuleman i Bieler, wprawdzie Niemcy, ale obywatele Państwa Polskiego i Członkowie Wielkopolskiego Związku Myśliwych, — wobec czego złożono 3 drużyny po 4 strzelców, umożliwiając p. Schulemanowi i Bielerowi branie udziału w strzelaniu w drużynie pomorskiej, do której weszli p. Hoenig, Niemiec i p. Łyskowski Polak, wszyscy właściciele dóbr z Pomorza.

Zaznaczyć należy, że w pięknym stylu i szybkim w strzale był p. Barański z Łukawicy i Łyskowski z Pomorza, którzy bardzo dobrze strzelali z przyrzutu, po wyrzuceniu rzutka, mimo, iż — prócz 2 czy 3 Niemców — prawie wszyscy z przyłożoną do ramienią bronią czekali na wyrzucenie rzutka. Pewnikiem jest, że gdyby wszyscy strzelali z przyrzutu, składając się po okazaniu się rzutka, byłby niejeden z nagrodzonych pobity przez pp. Barańskiego i Łyskowskiego. — Drużyna polska strzelała Pociskami, białemi, najtańszemi, śrutem $2\frac{1}{4}$—$2\frac{1}{2}$ mm, których 5.000 sztuk otrzymała z fabryki na strzelanie. Nawet niektórzy Niemcy, chcąc mieć twarz całą, strzelali Pociskami, a p. Hoenig, który tyle zdobył nagród, oświadczył, że zawdzięcza to nabojom Pocisku. Naboje więc polskie okazały się doskonałe! 99 na 100 rzutków zbitych przez pp. Kiszkurnę i Hoeniga, oto najlepszy dowód jakości naboju, najlepsza reklama. Naturalnie użyta przez takich strzelców jak obaj majstrowie! Należałoby sobie tylko życzyć, ażeby wszyscy strzelcy i myśliwi używali Pocisków.

Rozdanie nagród i wspólny obiad z paniami, odbył się po strzelaniu, w środę 16-go o godz. 21 wieczór w sali nowego Hotelu-Kasyna w Zoppotach.

Jedno życzenie pozostaje na przyszłość, by więcej strzelców z Polski brało udział i aby każdy wcześniej zgłosił swój udział, by prowadzący Drużynę polską, — którym daj Boże, aby był znowu P. pułk. Chłapowski, wiedział ilu przyjeżdża uczestników z Polski i aby wogóle miał pewność, że złoży odpowiednią drużynę! Sądzę, że w naszych czasopismach łowieckich powinny być odpowiednie ogłoszenia w przyszłości, zawiadamiające o tem i wskazujące w jakim terminie i gdzie ma się kto zgłosić!

Gdańsk, 23 lipca 1930.

Marjan Wohl

* 99 zbitych rzutków.

Zawody strzeleckie w Radomiu

W dniu 6 lipca 1930, odbyły się w Radomiu na placu ćwiczeń 72 pp. zawody strzeleckie w strzelaniu do rzutków, mające na celu zapoznanie szerszego ogółu z bezdymnym prochem „Sokół“ fabrykowanym w Państwowej Wytwórni prochu i matrjałów kruszących w Zagożdżonie.

Tak w konkursie otwarcia jak i w konkursie głównym i w jednej wolnej puli, zajął pierwsze miejsce, mistrz Polski Józef Kiszkórno, właściciel majątku Brudzew, w powiecie kolskim, a piękne wyniki miał też por. K. Tobola.

Strzelanie do rzutków odbyło się jedynie nabojami, ładowanymi bezdymnym prochem „Sokół“, który według relacji Komitetu to strzelanie urządzającego, zdobył sobie opinję pierwszorzędnego prochu, nieustępującego w niczem podobnym prochom pochodzenia zagranicznego.

S.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16